Pobudka
TYGODNIK

*) Perypetie węgierskie i włoskie
*) Mieczysław Niedziałkowski
*) Nasza ostatnia szansa.

Łódź, dn. 29 VI. 1947 r
Rok III. Nr 26
CENA 5 ZŁ

* * *

W Warszawie, obradował 3-szy powojenny Krajowy Zjazd OM TUR.

Po dwóch dziesiątkach lat rządów sanacyjnych, po latach terroru hitlerowskiego, po raz pierwszy w wolnej Polsce Ludowej zebrali się przedstawiciele setek tysięcy młodych socjalistów: awangardziści przyszłości, ludzie lepszego Jutra, spadkobiercy ideologii Dubois których przeznaczeniem jest utrwalenie w intensywnej twórczej pracy półwiekowych zdobyczy Socjalizmu.

Przewodniczący CKW PPS, tow. min. Osóbka-Morawski, jasno i dokładnie sprecyzował na Zjeździe cele, jakie przyświecać muszą młodzieży socjalistycznej i zadania, które przed nią stoją: — „Młodzież musi być siłą ożywczą, występującą w postaci zdrowych, ideowych, rozumnych i wartościowych bojowników sprawy Polski Ludowej, bojowników wychowanych w duchu czasów nowych, bez obciążającego balastu starego wychowania, które niezawsze ułatwiało zrozumienie nowej Polski".

Podchodząc do zagadnienia z perspektywy czasu wiemy, że na młodzieży naszej można polegać, że ci młodzi towarzysze z nad warsztatów fabrycznych, ze szkół czy uniwersytetów — nie zawiodą pokładanych w nich nadziei. Będą pracować, żyć i walczyć o wielką ideę Niepodległości i Socjalizmu, równości i sprawiedliwości społecznej. W twardej wyrastają szkole i w szeregach swych wychowywać będą ludzi o silnych, nieustępliwych charakterach. Tak jak dzisiaj wysoko niosą sztandar Socjalizmu, tak i w przyszłości nieść go będą.

Możemy być i jesteśmy dumni z poczynań naszej młodzieży. Stoją przed nią olbrzymie zadania, które wymagać będą nie tylko wysiłku mózgów i mięśni, ale i wielkich charakterów. Unikając szumnej frazeologii, pianiactwa, teatralności gestów—OM TUR-owcy przeobrażają myśl postępu w czyn!

A program? Do określenia jego starczą dwa słowa: POLSKA I SOCJALIZM.

J. K.

KOŁTUŃSTWO POLITYCZNE

Kołtuństwo polityczne jest to zjawisko, które szerzy się ze szczególną siłą w okresach przełomowych, wymagających od klas społecznych i narodu zdecydowanej postawy. Polega ono na hołdowaniu starym zasadom życia, ponieważ jest to wygodne i nie narusza nawyków myślowych, pozwala chodzić udeptanymi ścieżkami. Kołtuństwo wyrasta zawsze z podłoża bierności, znajduje oparcie w konserwatyźmie myślowym, jest uporczywym zacofaniem.

Kołtun polityczny, przeciwstawiający się demokratycznym formom rządzenia w Polsce powojennej, nie zawsze czyni to dlatego tylko, ponieważ ustrój ten jest mu wrogi z klasowych względów. Obiektywnie przemiany gospodarczo-społeczne pracują niejednokrotnie na jego korzyść, ale on tego nie dostrzega z powodu oportunizmu i gnuśności myślowej. Kołtun lubi bowiem oddawać się nastrojom, do których przywykł, nie jest samodzielny, kieruje się odruchami uczuciowymi, a nie sądami opartymi na doświadczeniu.

Kołtuństwo polityczne może przejawiać się albo w nadmiernej gorliwości, albo w wygodnym przystosowaniu się do warunków i cichym sufierowaniu temu wszystkiemu, co jest niekonstruktywne i obciążone bagażem przeszłości. Głupi gorliwiec jest równie niebezpieczny, jak oportunista. Pierwszy i drugi kieruje się bowiem przede wszystkim własnym interesem, sprowadzającym się do bezpośrednich korzyści.

Tow. Hochfeld w jednym ze swoich artykułów pisał: „PPS nie ukrywa przed nikim swoich zasad ideowych, broni się przed nieproszonymi sympatiami i złudnymi rachubami wszelkiej kołtunerii, jakąkolwiek formę ochronną miała by ona. Z pogardą patrzy PPS na kołtunów, którzy naiwnie spekulują na różnicach zdań wewnątrz obozu rewolucyjnej lewicy. Łudzą się ci wszyscy, którzy liczą na oderwanie PPS od jednolitego frontu robotniczego. Ale łudzili by się także ci wszyscy, którzy z manierą niepoprawnych sekciarzy usiłowaliby szachować naszą obronę „polskiej rewolucji" straszakiem rzekomej ideologii WRN".

Walka z różnego typu kołtuństwem politycznym jest w Polsce konieczna, jeżeli chcemy wyprowadzić życie polityczne na tory normalnej wymiany poglądów, i podejmowania decyzji przemyślanych i uzgodnionych. Likwidacja oportunistycznych tendencji, będących wyrazem utajonych chęci powrotu przedwojennych stosunków, albo poprostu — lenistwa i zacofania myślowego — jest możliwa tylko w atmosferze jasnych koncepcji politycznych.

Jeżeli jakakolwiek dyskusja publiczna ma doprowadzić do szczerej wymiany poglądów i do uzgodnienia stanowisk z troską o całość i rozwój dotychczasowych zdobyczy — wszelkie złośliwe spychanie jej na tory niewłaściwych podejrzeń wzajemnych jest wodą na młyn wszelkiego typu kołtunów i tych gorliwców, którzy wokół siebie chcą widzieć tylko wrogów i tych obciążonych bagażem przeszłości i oportunizmem myślenia.

JERZY WOLSKI.

Przegląd PRASY

W przemówieniu swoim w Harvard minister Marshall wysunął szereg sugestii na temat ewentualnej pomocy gospodarczej USA dla Europy.

Sugestie te wywołały żywą reakcję prasy światowej, która przybrała w wielu wypadkach charakter krańcowo różny. Obok słów aprobaty znalazły się poważne zastrzeżenia, lub wręcz negatywne oceny.

„Odbudowa zniszczonego w okresie wojny europejskiego przemysłu, transportu i rolnictwa — pisze londyński „Daily Herald" — wymaga długookresowego wysiłku, może nawet dłuższego niż przewiduje to wielu „pesymistów".

„Marshall—pisze francuski „Combat" — wezwał Europę do zorganizowania się i wypracowania na podstawie lokalnych planów narodowych, wspólnego, ogólnoeuropejskiego planu odbudowy..."

Innego zdania jest francuski tygodnik „La Tribune des Nations":

„Marshall przedłożył w Harvard plan pomocy USA dla Europy—pisze tygodnik — Nowy plan? Oczywiście nie. Inspirują go te same czynniki, które leżały u źródeł wszystkich poprzednich: USA odczuwają nadmiar produktów rolnych i przemysłowych, podczas gdy Europa odczuwa ich poważny niedostatek, lecz nie ma czym za nie płacić. Rozwiązanie narzuca się samo: pożyczyć Europie dolary, by mogła za nie nabyć potrzebne produkty w Ameryce... USA zabiegają o zachowanie dla siebie europejskich rynków zbytu. „La Tribune" kończy: „Celem USA jest oddziaływanie na gospodarkę europejską lub jej część oczywiście z korzyścią dla amerykańskiej ekonomiki liberalnej".

Krytyczne stanowisko zajęła również moskiewska „Prawda":

„Pozornie — postulaty Marshalla mogą wydawać się nowe, ale w istocie rzeczy stanowią one jedynie powtórzenie planów Trumana, t. j. presję polityczną, popartą dolarami, oraz plan ingerencji w sprawy wewnętrzne innych państw..."

Niewątpliwie słusznym i korzystnym dla obu kontynentów byłoby zaciśnienie wzajemnych stosunków i pogłębienie współpracy — pod warunkiem jednak lojalnego poszanowania suwerenności i odrębności ustrojowych. *(W. P.)*

Polityka i życie w zwierciadle tygodnia

Perypetie węgierskie...

Jak się okazuje, zamieszanie wewnętrzno-polityczne, wywołane sensacyjną dymisją b. premiera Ferencą Nagy, którą zgłosił on — jak wiadomo — ze Szwajcarii, nie skończyło się bynajmniej z tą chwilą. Dymisja wydobyła tylko na światło dzienne z za kulis politycznego życia Węgier pewne fakty, które wskazują wyraźnie, że czynniki reakcyjne bynajmniej nie zrezygnowały ze swych zamiarów utrzymania swych wpływów poprzez partie, stojące w wachlarzu partyjnym najbardziej na prawo.

Zjawisko to zresztą obserwujemy w całej Europie powojennej, w tych krajach, w których życie polityczne przeszło wielkie przemiany, ulegając daleko posuniętej radykalizacji.

W Polsce reakcja ukryła się za grupą Mikołajczyka, w Słowacji za partią demokratyczną, która sprawia w tej chwili nie mało kłopotu rządowi czechosłowackiemu, w Austrii skupiła się reakcja za dawnymi chrześcijańsko-społecznymi partiami, występującymi pod inną firmą, na Węgrzech wreszcie znalazła ona swe siedlisko w silnym stronnictwie drobnych rolników, które posiada w parlamencie większość, ale w których zmagały się różne tendencje, bardziej lewicowe lub prawicowe.

Stronnictwo to istniało już przed wojną, mając za swego przywódcę Tibora Eckharda, znanego ze swych zdecydowanych wystąpień w obronie chłopstwa węgierskiego. Ale Eckhard posiadał to samo zabarwienie polityczne, co Ferenc Nagy. I obaj znaleźli się w Ameryce. Skompromitowała ich zbytnia powolność wobec reakcji, która doprowadziła ich do współpracy z dawnymi kolaboracjonistami. Sądzili, że w ten sposób powstrzymają proces radykalizacji, który dokonał się bezpośrednio po wojnie, a który ulega jeszcze dalszemu pogłębieniu.

W myśl postanowień zawieszenia broni, Węgry znajdują się pod okupacją wojsk sowieckich, a kontrolę spełnia Sojusznicza Rada Kontroli, podobnie zresztą, jak i w innych krajach, które walczyły po stronie Niemiec.

Niewiadomo dokładnie, na jakich relacjach opierały się rządy Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, gdy rozpoczęły akcję dyplomatyczną wokół ostatnich wypadków węgierskich, które dosadnie skompromitowały umiarkowane skrzydło partii drobnych rolników, kryjące dążenia reakcji. Akcja ta skierowana była nie tylko pod adresem Sojuszniczej Rady Kontroli w Budapeszcie, ale również bezpośrednio — rządu ZSRR. Zarówno noty rządów mocarstw anglosaskich, jak i prasa anglosaska, operują stale terminem „przewrót", upierając się, że naskutek ostatnich wypadków dokonał się na Węgrzech przewrót polityczny.

Czy na Węgrzech dokonał się rzeczywiście przewrót? Można w tym wypadku sięgnąć do analogii polskich. Wynik wyborów styczniowych odsunął od wpływów na rządy w Polsce grupę Mikołajczyka. Rząd Jedności Narodowej, [illegible]ym grupa ta była reprezentowana, przestał istnieć, a na jego miejsce powstał nowy rząd, jako emanacja nowego układu sił partyjnych w społeczeństwie, bez udziału grupy Mikołajczyka. Czy takie przesunięcie sił można nazwać przewrotem? Napewno nie.

Podobnie miała się rzecz na Węgrzech. Po sensacyjnej dymisji b. premiera Ferenca Nagy i ucieczce zagranicę przewodniczącego parlamentu Beli Varga dokonało się pewne przesunięcie sił, ale nawet nie wewnątrz bloku demokratycznego, lecz jedynie w łonie samej partii drobnych rolników, z której wykluczone zostało skompromitowane prawe skrzydło. Przeszło ono do otwartej opozycji pod nazwą „Partii Wolności", a cały incydent scemenował tylko tendencje postępowe w łonie partii drobnych rolników i wzmocnił jej pozycję.

W Budapeszcie toczy się śledztwo w sprawie spisku antyrepublikańskiego, w który zamieszany był b. premier. Można się do tego śledztwa odnosić tak, lub inaczej. Jeśli jednak socjalistyczny minister sprawiedliwości proponuje przedłożenie dokumentów afery Organizacji Narodów Zjednoczonych, to stanowi to dowód, że dokumenty te mogą obciążać zbiegów, a nie tych, którzy pozostali na miejscu dla obrony republiki. **LEON HUCZYŃSKI.**

... i włoskie

Kryzys rządowy we Włoszech pogłębił się, a raczej zamienił się w kryzys państwowy wskutek ustąpienia tymczasowego prezydenta Włoch, Enrico de Nicola. Jako oficjalny powód swej rezygnacji de Nicola podał „zły stan zdrowia", jednakowoż koła polityczne uważają krok prezydenta za wyraz nieufności do rządu.

Rezygnacja prezydenta Włoch wywołuje nową sytuację polityczną. Obecnie bowiem Zgromadzenie Narodowe musi przede wszystkim dokonać wyboru nowego prezydenta, poczym rząd musi niezwłocznie oddać swe teki do dyspozycji nowowybranej głowy państwa. Tak więc rząd de Gasperi zmuszony jest podać się do dymisji, niezależnie od wyniku głosowania w Zgromadzeniu Narodowym nad deklaracją rządu. Nie jest wykluczone, że takie właśnie dążenie było jednym z nieujawnionych motywów rezygnacji de Nicola.

Trudno jest orzec, jak wielką rolę w przewlekłym kryzysie włoskim odgrywają wpływy obce. Nagła podróż samolotem do USA przywódcy rozłamowej grupy socjalistycznej, Sarágata i jego oświadczenie, że dla odbudowy gospodarczej Włoch potrzeba 4 miliardów dolarów, wskazywałoby na istnienie takich wpływów.

Jednakowoż wydaje się wątpliwym, aby Saragat zdołał odegrać we Włoszech rolę Tsaldarisa, podobnie, jak nie potrafiłby jej odegrać we Francji de Gaulle. Naród włoski, mający za sobą doświadczenie dwudziesto-paroletniej ery faszystowskiej, nie ścierpiałby powrotu do znienawidzonego reżimu. Natomiast Włosi doskonale zdają sobie sprawę z tego, że źródłem kryzysu włoskiego jest ciężka sytuacja gospodarcza, spowodowana sabotowaniem reform społecznych przez włoską reakcję. Obniżka wartości płac, niezrealizowana reforma rolna, nieupaństwowienie przemysłu i brak walki ze spekulacją — oto główne przyczyny ciężkiego położenia Włoch.

Obalenie faszyzmu zmieniło polityczny ustrój Włoch, które z monarchii stały się republiką. Ponieważ każdy niemal Włoch jest hodowcą wina i wie doskonale, że nie można lać starego wina w nowe beczki, przeto rozumie on również, że nowy republikański kształt państwa wymaga nowej treści — demokratycznych reform społecznych i gospodarczych.

„Głos Ameryki"

Polityka, prowadzona przez prezydenta Trumana i grupę jego doradców w rodzaju Dullesa, Marshalla, Vandenberga i Hoovera — utrwaliły w opinii europejskiej pogląd, iż współczesne Stany Zjednoczone są ogniskiem skondensowanej reakcji.

Pogląd ten jest z gruntu mylny. Wielki strajk górników, który kilka miesięcy temu sparaliżował życie ekonomiczne Ameryki, strajki metalowców i robotników przemysłu samochodowego, ostatni strajk 200 tys. marynarzy, który unieruchomił amerykański transport morski, wreszcie masowa akcja związków zawodowych, protestujących w Białym Domu przeciwko ustawie antyrobotniczej, zwanej od nazwisk jej autorów „Hartley-Taft" — oto najważniejsze fakty, świadczące o dynamicznych siłach, tkwiących w masach amerykańskich i zdolnych do zamanifestowania swego istnienia w sposób imponujący i groźny.

A przecież jeszcze 15 lat temu wynajmowanie przez fabrykantów prywatnej policji do rozbijania związków zawodowych, było zjawiskiem powszechnym. Strajki, jako reguła były zwalczane przy pomocy siły zbrojnej. Przywódców przekupywano lub... skrytobójczo uśmiercano.

Dziś amerykańskie związki zawodowe urosły liczebnie, rozporządzają znacznymi środkami pieniężnymi i niemałymi wpływami.

Dlatego nie są słuszne utyskiwania niektórych obserwatorów, iż życie publiczne w Ameryce przechodzi rzekomo proces faszyzacji, podobnie, jak nie słuszne są biadania Wallace'a, iż demokracji amerykańskiej brak jest zdolnego wodza. Niewątpliwie Wallace uważa siebie za predystynowanego do odegrania tej roli, ale wątpimy, czy demokracja amerykańska pójdzie pod komendę postępowego konserwatysty. Zresztą teoria „wodzostwa" wogóle jest nie do przyjęcia dla demokracji i Ameryka pod tym względem nie jest wyjątkiem.

Objawy żywotności mas amerykańskich nie powinny umykać uwadze polskiej opinii publicznej. Są one dowodem rosnących sił amerykańskich mas ludowych, które z czasem, podobnie jak gdzieindziej, zrzucą z siebie pęta, nałożone przez gasnący świat kapitalizmu i reakcji społecznej.

Głos Marshalla nie jest jedynym ani prawdziwym „Głosem Ameryki".

Słowianie dają światu lekcję

Dziwna symbolika, tkwiąca często w wydarzeniach historycznych, sprawiła, że obrady Komitetu Ogólnosłowiańskiego toczyły się w salonach pałacyku wilanowskiego, tego samego, z którego wyruszył król Jan Sobieski na odsiecz Wiednia.

Wojska polskie, jak tylekroć w historii, poszły się bić o cudze sprawy, o cudzą wolność. I jak tylekroć w historii, Polacy, odniósłszy zwycięstwo pod Wiedniem, natknęli się na mur niechęci i ocean niewdzięczności. Po zwycięskiej bitwie, Sobieskiego nie przyjęto nawet w Wiedniu, a wojsku polskiemu, rozłożonemu obozami wokół habsburskiej stolicy, zabroniono wstępu do Wiednia, z obawy... przed rabunkami. Historia Polski powtarza po wielekroć błąd polityczny Sobieskiego.

Po raz pierwszy jesteśmy świadkami nowego kursu w polityce polskiej. Już Polacy nie chcą być więcej niczyim „przedmurzem", już nie chcą być „Francuzami Wschodu"; Polacy nie chcą więcej nadstawiać karku za interesy Niemców i ich sprzymierzeńców.

Podczas ostatniej wojny Niemcy wykazali tyle nienawiści, tyle uplanowanego okrucieństwa wobec Słowian, iż wreszcie wszystkie ludy słowiańskie pojęły istotną treść odwiecznej polityki niemieckiej w Europie Wschodniej. Ta świadomość, którą narody słowiańskie, a przede wszystkim Polacy, okupiły milionami ofiar eksterminacji niemieckiej, stała się cementem spajającym przyjaźń narodów słowiańskich. W kąt poszły stare, nieważne waśnie i spory sąsiedzkie o miedzę. Ważne stało się coś innego. Konieczność wspólnej obrony przed możliwością nowej agresji niemieckiej, przed groźbą ostatecznego wytępienia Słowian.

„Nasza granica na Odrze i Nysie jest granicą całej Słowiańszczyzny" — przypominał min. Świątkowski wobec delegacji bratnich narodów i zgromadzonych tłumów publiczności na stadionie Wojska Polskiego. I kilkanaście tysięcy ludzi owacyjnie przyjęło słowa socjalistycznego ministra polskiego, dając świadectwo, iż polityka Nowej Polski nie jest wynikiem zimnego rachunku koniunkturalnego, dokonanego w ciszy gabinetów politycznych, ale tkwi głęboko w sercach i umysłach mas polskich.

Bezpieczeństwo Polski jest integralną częścią bezpieczeństwa całego świata słowiańskiego. Żadne gierki i dolarowe miraże nie zdołają oderwać Polaków od potężnego pnia słowiańskiego, który już udowodnił, że potrafi bronić i obroni się, a teraz skłóconemu i szarpanemu intrygami światu, daje wspaniałą lekcję solidarności i braterskiej przyjaźni narodów słowiańskich. **j. w.**

Nasz komentarz

Nowomianowany ambasador Stanów Zjednoczonych w Warszawie, p. Griffis, bawiąc przejazdem do Polski w Londynie, udzielił korespondentowi PAP wywiadu, w którym oświadczył, że będzie dążył do tego, aby Stany Zjednoczone przyszły z pomocą gospodarczą Polsce.

Serdeczne słowa ambasadora Griffisa pod adresem Polski i Polaków przyjmujemy z wdzięcznością i szczerością. My również jesteśmy ożywieni jaknajbardziej serdecznymi uczuciami wobec Stanów Zjednoczonych. Polski nie dzielą z USA żadne sprzeczne interesy i nie ma powodów do wzajemnej wrogości. Przeciwnie — historyczne wspomnienia wspólnych walk o wolność — Kościuszko, Pułaski, walka ramię w ramię z hitleryzmem w ostatniej wojnie — wskazują, że zarówno Polskę i Amerykę łączy umiłowanie wolności, demokracji i pokoju.

Przyrzeczenie pomocy amerykańskiej ze strony p. ambasadora Griffisa również przyjmujemy z podzięką.

Ale, musimy tu zaznaczyć odrazu i szczerze: pomocy potrzebujemy i chętnie ją przyjmiemy. Ale nie za każdą cenę. Nie zrezygnujemy ani z samodzielności naszej polityki, ani z naszych celów państwowych.

Cenimy sobie wysoko przyrzeczenie pomocy amerykańskiej, ale stwierdzamy, że pomoc rozumiemy nie tylko w dolarach, czy w towarach. Niestety polityka amerykańska nie zawsze to rozumie. Stanowisko zajęte przez min. Marshalla w Moskwie, w sprawie naszych granic zachodnich, nie jest dowodem chęci okazania pomocy Polsce. Być może dla min. Marshalla sprawa granicy polsko - niemieckiej jest ważnym atutem w grze politycznej. Dla nas jest to jednak kwestia życia. Nie możemy więc zaliczyć do przyjaciół tych, którzy udzielają poparcia naszym wrogom w sprawie tak zasadniczej dla naszej egzystencji państwowej.

Wierzymy w szczerość zamiarów nowego ambasadora USA w Polsce. I dlatego mamy nadzieję, że na czele listy planów pomocy Polsce, jaką zamierza zrealizować p. ambasador Griffis, znajdzie się przede wszystkim sprawa zmiany stosunku rządu USA do najbardziej dla nas żywotnej kwestii granic zachodnich Polski.

(j. w.)

MIECZYSŁAW NIEDZIAŁKOWSKI

Ruch socjalistyczny w Polsce miał wielu wybitnych ludzi. Każdy z nich prawie ze specjalną znajomością danej dziedziny swej pracy politycznej czy społecznej wypełniał swoje zadania tak, jak umiał, wkładał swoją umiejętność i przywiązanie do sprawy, starał się wykonać powierzone mu prace.

Wielu z nich poświęcało się swemu odcinkowi pracy, w nim tylko znajdując pole dla swojej publicznej działalności.

Wszechstronnym działaczem socjalistycznym, specjalnego typu był świetlanej pamięci **Mieczysław Niedziałkowski**, jeden z najzdolniejszych ludzi polskiego proletariatu na przestrzeni dziejów naszego ruchu — ostatniego ćwierćwiecza. Jego wierna służba, oddanie się sprawie walki o prawa klasy robotniczej, głębokie przywiązanie i wierność idei socjalistycznej, wszechstronna praca i znajomość całego szeregu zagadnień, związanych z rozwojem ruchu robotniczego — wysunęły go szybko na czoło uczciwych działaczy, dla których dobro swej klasy stanowiło największe szczęście.

Rozumiał on i twierdził jasno, bez ogródek, że proletariat jako najbardziej wartościowa warstwa społeczna jest czynnikiem, na którym oprzeć się musi państwo, doceniał on i podkreślał proletariacki patriotyzm, wykazywał niezbicie, że klasa pracująca i państwo stanowią jedną całość.

W rozmaitych okolicznościach przestrzegał polskich wielkorządców faszystowskich, że na wypadek niebezpieczeństwa grożącego ojczyźnie, robotnik i chłop polski będzie trzonem, dokoła którego skupią się wszystkie siły postępu i demokracji w walce z wrogiem, czyhającym na niepodległość naszego narodu.

Niestety niezbyt długo przyszło czekać Polsce na sprawdzenie się tych proroczych słów Mieczysława Niedziałkowskiego. Sprzedajna, faszystowska polityka zagraniczna w okresie przedwrześniowym, prowadzona po linii interesów hitlerowskich, zwrócona ostrzem swoim przeciwko krajowi budującego się socjalizmu — Związkowi Radzieckiemu, doprowadziła do upadku, bankructwa i rozkładu.

Ci, których On przestrzegał, upominał, nawoływał, ci którym tłumaczył i groził, skierowali w pośpiechu swe tchórzliwe kroki w stronę szosy zaleszczyckiej — Niedziałkowski pozostał na barykadach walczącej Warszawy.

*
**

Już w młodzieńczym swym wieku wiedział Niedziałkowski, gdzie jest jego miejsce, komu oddać powinien swe siły. Rozumiał, że proletariat jest czynnikiem, który przez swoją bojową postawę i solidarność stworzyć może podstawy, na których oprzeć przyjdzie walkę o wolność i niepodległość swego narodu. Stąd jego pełna poświęceń praca w okresie niewoli i walki z caratem, stąd wybitna jego działalność w ruchu podziemnym w okresie poprzedzającym pierwszą wojnę światową.

Po odzyskaniu niepodległości stanął Niedziałkowski natychmiast do pracy w ruchu socjalistycznym. Swą zdolnością i pracowitością zwrócił na siebie uwagę, jego zdanie stanowiło niejednokrotnie podstawę do dyskusji w ważnych zagadnieniach państwowej wagi. Sytuację oceniał zawsze trzeźwo i jasno, śmiało nazywał sprawy po imieniu, walczył często bez skutku o przeprowadzenie swych tez i dezyderatów.

W sejmie polskim zdobył sobie sławę dobrego parlamentarzysty, w walce z reakcją był bezwzględny i stanowczy, używał argumentów przekonywujących i rzeczowych, metody zwalczania przeciwników politycznych były zawsze proste, nieskomplikowane, nie obliczone na efek — obce były mu chwyty demagogiczne, nie uznawał zakulisowych intryg, gier, kompromisów i układów.

Kiedy na tapecie obrad znajdowały się ważne sprawy, mające doniosłe znaczenie dla klasy pracującej, stawał na mównicy sejmowej Niedziałkowski, broniąc słusznej sprawy i sprawiedliwości.

Po śmierci Resa (Feliksa Perla) powierzono mu prowadzenie „Robotnika", centralnego organu Partii. Na tym stanowisku położył Niedziałkowski kolosalne zasługi. Stworzył on z łamów pisma socjalistycznego żywą trybunę myśli i walki socjalistycznej. Prawie codziennie doskonałym swym piórem chłostał nieprawość, wzmagał czujność proletariatu, wzywał do jedności i solidarności, rozprawiał się we właściwy sobie wspaniały sposób z faszyzmem, reakcją i wstecznictwem.

Nie patrzył na trudności, nie zrażały go nigdy przeszkody i hamulce, tworzone niejednokrotnie przez tych, którzy w tym samym co on przebywając obozie, swoją reformistyczną polityką i umiejętnym dostosowywaniem do sytuacji pragnęli stłamsić zdrowy instynkt mas i politykę ruchu socjalistycznego sprowadzić na manowce.

Napad Hitlera na Polskę zastał go jak zwykle na posterunku codziennej pracy. Wśród gradu bomb, huku armat i rozrywających się pocisków wydawał swego „Robotnika", nawoływał do bezwzględnej walki, wołał o jedność całego proletariatu. Kiedy runął gmach, w którym tyle lat wytrwale pracował, walcząc o słuszne prawa klasy robotniczej, kiedy rozleciały się w gruzy maszyny i kaszty drukarskie — ostatni numer „Robotnika" odczytał na barykadach broniącej się stolicy.

Przez cały czas nie schodził z posterunku, nie opuszczał pola walki, zagrzewał swoją odwagą i poświęceniem wszystkich, zdumiewał wytrwałością i niezłomną postawą.

Pozostał do końca wierny swym ideałom, wykazał niezbicie, że sprawa wolności i socjalizmu jest sprawą życia wiernych synów polskiego proletariatu.

Krwiożerczy faszyzm niemiecki dosięgnął go. Brunatni oprawcy wiedzieli, kim jest i jaka była rola w Polsce Mieczysława Niedziałkowskiego. Życie tego działacza socjalistycznego było niebezpieczeństwem dla zbirów i ich ustroju opartego na gwałcie i przemocy. Obóz koncentracyjny nie był ich zdaniem wystarczającym środkiem. Za wierność socjalizmowi i gorący patriotyzm kazali mu zapłacić życiem.

W celi przed śmiercią zachowywał się jak bohater, na miejsce stracenia szedł spokojny, zrównoważony i opanowany. Współwięźniowie podziwiali jego hart ducha i niezłomność, która cechowała go do ostatniej chwili pracowitego żywota.

Okrzykiem na cześć **Wolnej, Niepodległej Polski i Socjalizmu** pożegnał swych towarzyszy pracy i walki, swoim pięknym życiem i męczeńską śmiercią zostawił polskiemu ludowi pracującemu drogowskaz, wiodący go po szlaku bezkompromisowej walki z tyranią, drogowskaz, który nas zaprowadził do odrodzonej demokratycznej Ojczyzny.

KAR.

Bałtyk — siłą narodu

Staraniem Ligi Morskiej obchodzimy co roku „Święto Morza". Dlaczego my, Polacy, tak wielką przywiązujemy wagę do posiadania wybrzeża morskiego, że czcimy je aż tczrymi obchodami na obszarze całego kraju? W pierwszym rzędzie dlatego, żeśmy pojęli nareszcie znaczenie i wartość morza, jako granicy naturalnej, zabezpieczającej państwo od agresji wrogich sąsiadów. Przykładem nader żywym była Anglia

W pierwszym rzędzie dzięki zwiększonej granicy morskiej, zmniejszyła się wydatnie nasza granica z Niemcami, wynosząca po pierwszej wojnie światowej ca 2000 km., a obecnie 426 km.

Za czasów Jagiellonów nie umieliśmy wykorzystać należycie znaczenia morza, jako atutu w stosunkach międzypaństwowych. Zajmowanie się handlem uważane było w Polsce za coś hańbiącego, nielicującego z godnością szlachecką. Większą część wybrzeża pozwoliliśmy opanować Niemcom, pozwoliliśmy aby wpływy ich w Gdańsku wzrosły do niebywałych rozmiarów. Ciągnęli oni zyski z handlu naszym zbożem, a jednocześnie dokładali wszelkich starań, aby Polskę od morza odepchnąć, co im się w okresie I-go rozbioru udało. Wkrótce po utracie dostępu do morza — straciliśmy i niepodległość. Byliśmy okaleczeni przez 150 lat niewoli. Zduszeni, ściśnięci bez szerokiego oddechu.

W roku 1916 otrzymaliśmy nader mizerny i skąpy skrawek wybrzeża. Jak dalece brakowało nam go, jak bardzo był on potrzebny państwu polskiemu, świadczy fakt nie mającej precedensu w dziejach błyskawicznej budowy Gdyni. Z wioski rybackiej stała się najbardziej nowoczesnym portem Bałtyku. Cóż z tego jednak, że połączyliśmy Gdynię linią kolejową z resztą kraju, że wysiłkiem całego społeczeństwa budowaliśmy flotę wojenną i handlową? Jak długo nie mieliśmy dostatecznego dostępu do morza, była nasza cała praca dziecinnym budowaniem domków z piasku. W roku 1939 wszystko przepadło. Nie pomogła bohaterska obrona Westerplatte, ani Helu, Niemcy zaczęli się panoszyć na naszym skrawku wybrzeża, przemianowali Gdynię na Gotenhafen, starannie zacierali każdy ślad polskiej stopy.

Wyzwolenie sprawiło, że wróciły nasze orły na stare ziemie piastowskie. Szary Bałyk spłynął krwią najeźdźców.

Dzisiaj każde dziecko wie, jakie znaczenie ma morze dla rozwoju i bytu naszego państwa.

Pod względem politycznym zapewnia nam pokój, jako granica naturalna. Z ekonomicznego punktu widzenia. Bałtyk to najtańsza droga zbytu dla naszych towarów, a w pierwszym rzędzie węgla. Pierwszą rolę odgrywa tu port szczeciński, leżący u ujścia Odry, a tym samym łączący Zagłębie węglowe z morzem Szczecin, który w stosunkach handlowych czeskich zajął miejsce niemieckiego Hamburga.

Możliwości racjonalnego rozwoju ekonomicznego naszego państwa w oparciu o Bałtyk są olbrzymie. Niestety Niemcy w swym bestialskim szale zniszczenia zdewastowali w niesłychany sposób całe Pomorze i wybrzeże. Wielu lat trudu i wielu milionów złotych trzeba, aby dojść do rozkwitu. Przed naszym narodem ukazuje się szerokie pole do pracy. Pracy nietylko na zagonie, ale nad zagospodarowaniem pasa nadbrzeżnego. Zrozumienia istotnego znaczenia morza w naszej polityce ekonomicznej. Stosunki handlowe nawiązane z szeregiem państw, jak ze Szwecją, Danią, Norwegią, Czechosłowacją — pozwalają nam patrzyć z ufnością w przyszłość. Wzamian za nasze bogactwa naturalne otrzymywać będziemy: rudę maszyny, bydło i t. p.

Z punku widzenia kulturalno oświatowego morze ma także olbrzymie znaczenie. Morze, to okno na szeroki świat. To poznanie dalekich lądów, obcych kultur i zdobyczy naukowych. Morze, kształci naszą młodzież, daje jej pełnię życia. Uczy zaradności, spostrzegawczości, walki z trudnościami. Rozwija ducha i ciało.

Wiemy z dziecinnych lat, jak nęcą opisywane przez Maine Reda, czy Coopera przygody marynarzy, z jakim zachwytem czytamy powieści morskie Londona, czy Conrada.

Słony oddech morza, niezmierzone horyzonty, idealna czystość atmosfery, pozbawionej miazmatów ziemskiego kurzu, wreszcie jodo bromowy składnik powietrza sprawiaja, że morze jest wielkim lekarzem chorych ciał i chorych dusz.

K. S.

Nasza ostatnia szansa

Są rzeczy, o których mówić i pisać należy zawsze. Są fakty, które nie tylko można, ale i trzeba, przypominać przy każdej nadarzającej się okoliczności. Są prawdy, które musi rozumieć każdy, bez względu na stopień swego wykształcenia, na wiek i płeć, na przekonania polityczne, na zainteresowania zawodowe. Wśród takich prawd na jednym z poczesnych miejsc znaleźć się musi prawda o polskim morzu, którego święto obchodzimy w bieżącym miesiącu. Prawda w przeszłości nader często nie rozumiana i niedoceniana. Prawda oczywista: od polskiego stosunku do morza, od polskiej podstawy na morzu — zależy w znacznym stopniu byt Rzeczypospolitej zarówno polityczny jak i gospodarczy, co jest rzeczą szczególnie ważną w obliczu olbrzymich zniszczeń, jakich doznaliśmy w wyniku minionej wojny.

Wojna ta obfitowała w nader przykre i bolesne dla nas doświadczenia. Wojna ta wykazała, jak mścić się potrafią błędy poprzednich pokoleń na pokoleniach następnych, jak zwodnicze są idee, pozostające w sprzeczności z interesami państwa i narodu. Lecz jednocześnie wojna ta, opłacona krwią milionów — dała narodowi polskiemu jedną i bodaj ostatnią szansę: wróciliśmy na realny szlak polityki, rozwoju i życia. Wróciliśmy na Śląsk i Pomorze, odzyskaliśmy polski Bałtyk i takie granice morskie, jakie są słuszne, sprawiedliwe i konieczne.

Tej ostatniej szansy nie wolno nam zaprzepaścić, nie wolno nam spocząć na laurach zwycięstwa, bo historia posiada swoją wymowę, a historia świadczy, że nigdy nie był Niemiec Polakowi bratem i że zawsze Niemiec zawistnym okiem patrzeć będzie na nasz stan posiadania terytorialnego a przede wszystkim na nasz stan posiadania morskiego.

Dlatego w tym miesiącu, w którym święcimy Dzień Morza Polskiego, musimy sobie powiedzieć jasno i wyraźnie: naród polski musi morze zrozumieć i pokochać, musi umieć ocenić to wszystko, co z faktu posiadania wynika, musi pamiętać, że odzyskane morze trzeba zagospodarować, że nie wystarczy tylko być zdecydowanym b r o n i ć go własną piersią w razie potrzeby, ale trzeba u s i l n i e pracować, by Rzeczypospolita stała się i s t o t n i e państwem morskim.

I jeszcze jedno trzeba sobie powiedzieć: nasz stosunek do morza w nowej rzeczywistości nie może być oparty na frazesach w przedwojennym stylu a la „Frontem do morza!", — frazesach bez pokrycia. Stosunek nasz musi być rzetelny, uczciwy, szczery i ofiarny. Wtedy tylko każde następne Święto Morza Polskiego będzie nie tylko dniem demonstracji, ale i dniem zasłużonego i niezaprzeczalnego zwycięstwa. O tym trzeba pamiętać!

JAWICZ

PRZYPOMINAMY

Ciekawe jest naprawdę porównanie tego co działo się przed laty siedemnastu, a dzisiaj. Chodzi mi o stosunek dawnego sanacyjnego ustroju, do spraw oświatowych. Wszelkie komentarze są zbyteczne — pozostawiam je Czytelnikowi.

Przed katastrofą szkolną

Z prawdziwym podziwem należy patrzeć na to uczucie beztroski i zadowolenia z siebie, którym opanowane są nasze najwyższe władze oświatowe. Od kilku lat mnożą się objawy i mnożą się ostrzeżenia, że w dziedzinie szkolnictwa stoimy w przededniu wielkiej katastrofy. Będzie to zaiste tragicznym momentem, gdy wrota szkolne zamkną się przed setkami tysięcy młodzieży zgłaszającej się po wiedzę, z powodu braku miejsca. A jednak moment ten jest bliski. Gdy na społeczeństwo spadają katastrofy t. zw. żywiołowe, np. powódź i mrozy, rząd może się tłumaczyć, że były one nieoczekiwane, że nie był przygotowany na ich przyjęcie. Gdy zacznie się już niebawem katastrofa szkolna, usprawiedliwienia nie będzie. Na wiele lat już katastrofa ta była przewidziana, nikt inny tylko urzędnicy ministerstwa W.R. i O.P. obliczyli z całą sumiennością i dokładnością, że grozi ona nieuchronnie. A jednak w sąsiednim pokoju siedzący Minister Oświaty przyjmuje te cyfry i obliczenia z nieporównaną obojętnością i zimną krwią. Trudno, dopust Boży, trzeba przecierpieć.

Mszczą się długie lata bezczynności. Od początku powstania Państwa polskiego nie umiano postawić tej sprawy należycie. Dla oświaty miano zawsze ckliwą, obłudną miłość, graniczącą z obojętnością. Były zawsze sprawy ważniejsze, pilniejsze, Polska chciała się za wszelką cenę w pierwszym rzędzie „ubojowić", a nie oświecić, sprawy oświatowe odkładano na później. Sprzyjała tej bierności koniunktura, bo i w tej dziedzinie koniunktura istnieje.

Skutkiem klęsk i cierpień wojennych, dzieci nie obrodziły. Ze ścianami izb szkolnych stało się odwrotnie niż z ową słynną chatą piastową. Nie ściany się rozszerzyły, ale ilość gości się zmniejszyła. Władze szkolne przyjęły ten fakt z radością. Sporządziły natychmiast radosną statystykę, dowodząc, że oświata w Polsce rośnie — i ułożyły się do zasłużonego spoczynku.

Tymczasem to nie oświata rosła, ale ilość dzieci się zmniejszyła. Z tego spokojnego snu nie potrafiły władz szkolnych rozbudzić nawet głośne alarmy, że ten proces kurczenia się ilości dzieci już się skończył, i że zaczyna się proces wprost odwrotny, że natura nie tylko wraca do normy, ale nadrabia to co zostało zaniedbane. Tylko władze szkolne nie pomyślały o tym, aby odrobić to, co one zaniedbały. Z roku na rok sygnalizowano niebezpieczeńswo i z roku na rok rząd mówił: Aby zaradzić tej katastrofie trzeba pięć miliardów złotych, pieniędzy tych nie ma, damy w tym roku pięć milionów, a na drugi rok przystąpimy do akcji. Na drugi rok jednak mówiono to samo, a było to wszystko w czasie, gdy budżet doszedł do wysokości zawrotnej, gdy już dalszego jego powiększenia nie można było oczekiwać, gdy dysponowano setkami milionów nadwyżek budżetowych, gdy na budowę gmachów reprezentacyjnych wydawano więcej niż na budowę gmachów szkolnych, gdy na akcję wyborczą stronnictwa rządowego wydano znacznie więcej niż na izby szkolne dla dzieci robotników i chłopów. I tak długo sprawę budownictwa szkolnego zwlekano z roku na rok, aż przyszedł kryzys gospodarczy, który wstrząsnął budżetem państwa, który wytworzył nakaz bezwzględnej oszczędności, który stworzył zapory akcją inwestycyjną. Rzecz prosta, że najbliższe lata przy dobrej nawet woli, której dotąd nie było, będą znowu biernymi w dziedzinie rozbudowy oświaty. A więc katastrofa szkolna jest nieuniknioną.

Z uczuciem fatalizmu nasi kierownicy oświatowi zasłaniają się zawsze brakiem pieniędzy. Bo są rzeczy, które w Polsce muszą być i są rzeczy, których nie może być. Do tych ostatnich należy niestety szkoła. Rzecz jest jasna. Póki szkoła będzie w Polsce uważana za rzecz zbytku, za luksus, póty jej nie będzie.

Ale jeżeli w tej dziedzinie bierność władz oświatowych ma wytłumaczenie w tym, że pada plackiem przed polityką budżetową czynników decydujących, czemże wytłumaczyć bierność w tej dziedzinie, która nie kosztuje nic prócz odrobiny woli i zrozumienia potrzeb oświatowych społeczeństwa? Mamy tu na myśli zupełną bierność w dziedzinie prac nad ustrojem szkolnictwa. Największe zagadnienia są najzupełniej zaniedbane. Jednolita szkoła, organizacja samorządu szkolnego, szkolnictwo mniejszości narodowych — są to wszystko rzeczy, które od powstania państwa polskiego czekają na rozwiązanie i które Ministerstwo Oświaty otoczyło kwietyzmem, którego twarde łupiny nic dotąd rozerwać nie może.

Władze oświatowe traktują siebie nie jako samodzielny czynnik poświęcony twórczej pracy nad rozwojem kultury narodowej, ale jako organ pomocniczy, dla urzeczywistnienia celów politycznych obecnego systemu rządzenia. Od czasu objęcia rządów przez sanację nic się nie zmieniło poza tym, że w szkołach zawisły portrety marszałka, że nakazano ideał wychowawczy w postaci kultu opatrznościowego człowieka. To ma zastąpić reformę programów szkolnych. A obok tego polityka personalna wysługująca się bieżącym potrzebom politycznym sanacji, przenoszenie nauczycieli niewygodnych, aby odważniejszych się pozbyć, a pozostałych sterroryzować. A obok tego zaciekła walka z czerwonym harcerstwem. Innych kłopotów pan Minister W.R. i O.P. nie ma. Nic dziwnego, że przy tak „pożytecznych" pracach, może nie zauważyć, że dach nad jego głową pali się. Jest przecież On, mąż zesłany przez Opatrzność, który nas zwalnia od myślenia i twórczej działalności.

(„Pobudka", r. 1930, Nr 34)

A oto druga paląca ongiś kwestia. Kwestia, która była koszmarem tamtych czasów — problem zamykający się w jednym wyrazie:

Bezrobocie

Beznadziejnie przewleka się kryzys gospodarczy, którego cały ciężar przygniata masy pracujące. W obliczu rozmiarów i trwałości tej klęski wyraźnie rysuje się zupełna bezczynność władz. Rząd nie ma widocznie czasu zastanowić się poważnie nad sposobami walki z bezrobociem, może ma wiele kłopotów ze słynnym procesem „Centrolewu", o którym również coraz mniej się mówi. Jakie to są nowe kłopoty? Nie wiemy. Co się zaś tyczy bezrobocia, to do czasu można liczyć na bierność mas, spychanych przez nędzę i głód w stan depresji. Ale wiecznie taki stan trwać nie może. I oto dziś w jednej, jutro w drugiej miejscowości tworzą się manifestacje bezrobotnych, wybuchają zajścia. Przecież cierpliwość ludzka ma też swoje granice.

Tłumaczenie tych zajść przez wywrotową działalność komunistów, jak to czynią komunikaty policyjne, jest w istocie śmieszne.

(„Pobudka", r. 1930, Nr 35)

Z dziejów i teorii socjalizmu

(Ciag dalszy VI)

(Ciąg dalszy)

Wreszcie przychodzą trzej wielcy romantycy socjalistyczni: Saint-Simon, Fourier i Owen. Wykazują oni jedną wspólną cechę, że nie występują jako przedstawiciele powstałego już historycznie proletariatu, ale chcą oni — podobnie jak myśliciele epoki oświecenia — wyzwolić od razu całą ludzkość. — Świat burżuazyjny według tych myślicieli, jest nierozumny i niesprawiedliwy i winien powędrować na „śmietnik historii tak samo jak feudalizm i wszystkie wcześniejsze ustroje społeczne".

W 1802 r. ukazały się „Listy Genewskie" Saint-Simona, w 1808 r. wyszło z druku pierwsze dzieło Fouriera, w styczniu 1800 Robert Owen objął kierownictwo New Lanark. W owym czasie produkcja kapitalistyczna, a wraz z nią i przeciwieństwa między burżuazją, a proletariatem były jeszcze nierozwinięte. Wielki przemysł, który dopiero co powstał w Anglii, był jeszcze nieznany we Francji. A dopiero wielki przemysł rozwinął konflikty klasowe oraz konflikty pomiędzy samymi siłami wytwórczymi, a formami wymiany, konflikty, które nieodzowną koniecznością czyniły przewrót w systemie produkcji. Na przełomie XIX wieku konflikty te nie miały wyraźnych ostrych konturów tym bardziej słabo zarysowały się środki ich rozwiązania. Proletariat, który wyodrębniał się dopiero z mas nie pos adających, jako trzon nowej klasy, był wówczas niezdolny do samodzielnego działania; przedstawiał się jako stan uciśniony, cierpiący, któremu wobec jego niezdolności do okazania pomocy samemu sobie, mogła być wyświadczona pomoc w najlepszym razie z zewnątrz z góry.

Ten stan sytuacji historycznej zaważył swoim przemożnym wpływem na współczesnych twórcach socjalizmu. — Niedojrzałości produkcji kapitalistycznej, niedojrzałym stosunkom klasowym odpowiedziały niedojrzałe teorie socjalistyczne. Ponieważ ówczesne społeczeństwo wykazywało tylko swoje anomalia, zastanawiający się nad ich usunięciem teoretycy musieli tworzyć sztuczne obrazy tego społeczeństwa, stąd pew na utopijność stworzonych w międzyczasie koncepcji socjalistycznych

Saint-Simon był synem wielkiej rewolucji francuskiej. On to postawił twierdzenie „w przyszłej organizacji społecznej każdy będzie zatrudniony stosownie do swych zdolności, a wynagrodzenie pobierać będzie stosownie do swych dzieł".

Rewolucja francuska przyniosła zwycięstwo stanowi trzeciemu — t. j. głównej masie ówczesnego narodu, która pracowała w produkcji i w handlu, — nad szlachtą i duchowieństwem, stanami uprzywilejowanymi, zwanymi przez Saint-Simona stanami „próżniaczymi". Zwycięstwo to, przejawiające się w zdobyciu władzy politycznej, stało się udziałem tylko nieliczne grupy, a mianowicie posiadającej burżuazji, która szybko zaczęła zdobywać wpływy dzięki operacjom spekulacyjnym skonfiskowanymi, a następnie sprzedawanymi, posiadłościami ziemskimi szlachty i kościoła. Rządy tej burżuazji doprowadziły Francję podczas dyrektoriatu na brzeg przepaści i ułatwiły Napoleonowi dokonanie zamachu stanu.

Te dokonywujące się na oczach Saint-Simona przeobrażenia społeczno-polityczne skłoniły go do pewnej analizy, do pewnego ich wartościowania. W ujęciu Saint-Simona — przeciwieństwo pomiędzy stanem trzecim, a stanami uprzywilejowanymi stało się przeciwieństwem między „robotnikami", a „próżniakami", przy czym pojęciem „robotników", obejmował nie tylko robotników najemnych, lecz również kupców, fabrykantów, bankierów. „Próżniakami" byli w tym wypadku nie tylko dawni uprzywilejowani, ale i ci wszyscy, którzy żyli z renty.

Przy ocenianiu tych warstw jako elementu duchowo i politycznie kierowniczemu, Saint-Simon doszedł do wniosku, że klasa uprzewilejowanych, już przestała być zdolna do sprawowania rządów w narodzie, a warstwa robotnicza jeszcze nie dojrzała, aby ująć i należycie poprowadzić rządy.

W wyniku tej analizy dochodzi on do wniosku, iż tylko nauka, t.j. uczeni, oraz przemysł, t. tj. aktywni mieszczanie kupcy, fabrykanci, bankierzy mogliby przywrócić równowagę w narodzie i pełnić rządy.

Te dwie warstwy społeczne, złączone więzami mistycyzmu i ściśle hierarchicznie, przywróciłyby — zdaniem Saint-Simona — „nowe chrześcijaństwo". W koncepcji jego ci mieszczanie mieli się przekształcić w urzędników publicznych i mężów zaufania społeczeństwa; bankierom Saint-Simon powierzał dużą rolę kierowania przemysłem przez regulowanie kredytu. Odpowiadało to faktowi powstania we Francji wielkiego przemysłu. Saint-Simon w założeniu tej swojej koncepcji przyjmował przedewszystkim interes „klasy najliczniejszej i najuboższej".

W pracy swojej p.t. „Listy Genewskie" ujmuje on rewolucję Francuską jako walkę klasową i to nie tylko pomiędzy szlachtą, a burżuazją, lecz także pomiędzy szlachtą i burżuazją, a klasami nie posiadającymi. Było to jak na rok 1802 genialnym odkryciem — jak mówi Engels o Saint-Simonie. Saint-Simon przeprowadza tezę, iż ekonomią pochłonie politykę. Pomimo tego, że zrozumienie, iż położenie ekonomiczne jest podstawą instytucji politycznych występuje dopiero w zaródku w teorii Saint-Simona, to jednak wychwytuje on jasno myśl o przemianie rządów politycznych nad ludźmi w zarząd rzeczami i kierownictwo procesami produkcji, a więc jest to myśl o zniesieniu państwa.

Saint - Simon w swoich koncepcjach społeczno - ekonomiczno - politycznych wykazuje genialną — wg. określenia Engelsa — dalekowzroczność, ujmując w zarodku prawie wszystkie idee późniejszych socjalistów.

Fourier podejmuje przede wszystkim krytyczną analizę ówczesnych stosunków społecznych przed i porewolucyjnych. Czyni to z iście francuskim dowcipem i pogodą, choć przenika sytuację wytworzoną w sposób bardzo głęboki. Jest on nie tylko krytykiem, ale i satyrykiem i to jednym z największych wszystkich czasów. W całej swej wspaniałości ukazuje się w pojmowaniu historii społeczeństwa. Cały bieg dotychczasowej historii dzieli on na cztery szczeble rozwojowe: okres dzikiego, bytowania człowieka, barbarzyństwa, patriarchatu i cywilizacji, przyczem cywilizacja zbiega się z tak zwanym obecnie społeczeństwem burżuazyjnym, a więc z porządkiem społecznym, zaprowadzonym w XV-tym stuleciu.

Fourier wykazuje, że „cywilizowane społeczeństwo podnosi występek, który barbarzyńcy, uprawiali z prostotą — do skomplikowanego, dwulicowego, dwuznacznego, obłudnego sposobu bytu, że cywilizacja obraca się w „błędnym kole", w sprzecznościach, które wciąż wytwarza na nowo, nie mogąc ich przezwyciężyć, w następstwie czego osiąga zawsze skutek wprost przeciwny temu, który chce, lub udaje, że chce, osiągnąć. "W ten sposób naprzykład" w cywilizacji nędza wynika z samego nadmiaru bogactwa".

W ŚWIECIE



Powstanie na Madagaskarze znajdzie swój epilog w Paryżu. W stolicy Francji przebywa dr Raseta — przywódca oddziałów powstańczych (na zdjęciu), w celu omówienia wolnościowych postulatów ludności malgaskiej.



Lotniczy przemysł amerykański prod... Powietrznych Sił Zbrojnych USA. Zdj... bryk, która produkuje samolot...



Po zdradzie i ucieczce byłego premiera Węgier Ferenca Nagy, najbliższa rodzina Nagy'ego uzyskała pozwolenie wyjazdu zagranicę. Zdjęcie przedstawia moment powitania b. premiera ze swym synkiem.



Do Madrytu przyby... co, Evita Duarte, d... Argentyny. Na zdj... fas...

i W POLSCE



...je tysiące samolotów różnych typów dla ...e przedstawia halę montażową jednej z fa... ...akietowe typu F84 „Thunderjest".



W Oświęcimiu, na terenach tamtejszego „obozu śmierci" otwarte zostało muzeum martyrologii narodów Europy. Otwarcia muzeum dokonał tow. premier Cyrankiewicz (na zdjęciu), były więzień polityczny Oświęcimia.



...na zaproszenie gen. Fran... ...Peron, żona prezydenta ...p. Peron, apostołka ...zmu...



Krynica — Zdrój. Zdjęcie przedstawia jeden z najokazalszych tamtejszych domów wypoczynkowych, t. zw. Nowy Dom zdrojowy.

Nasz konkurs 24)

Poniżej drukujemy 24 z kolei odcinek naszego Konkursu. Przypominamy, że warunkiem wzięcia udziału w losowaniu nagród jest nie tylko trafne rozwiązanie, ale i punktualne nadesłanie rozwiązania do redakcji.

Termin nadsyłania rozwiązań Konkurs nr 24 upływa z dn. 22 lipca br. Rozwiązania z datą stempla pocztowego późniejszą — nie będą brane w rachubę.

W rozwiązaniu podać trzeba — przypominamy jeszcze raz — tytuł książki z której fragment został zamieszczony, nazwisko autora, oraz własny dokładny adres i nazwisko.

Nagle w tej ciszy ponurej rozległo się dalekie szczekanie psa. Ozwało się parę razy i po chwili zziajany, wpadł Margas na polanę, do nóg pana.

Marek był głuchy na odgłosy zewnętrzne, pies go trącił, zaczął drapać łapą po ramieniu, lizać po rękach, nareszcie usiadł na ziemi przy głowie leżącego i skomlał i szczekał bez ustanku.

Poruszyło to nareszcie nieszczęśliwego, przypomniało życie. Długi czas minął jak tu zaszedł, — wieczór zapadł. Podniósł się mozolnie; był skostniały od zimna, febra nim trzęsła, głowa tylko pałała żarem.

Obejrzał się zbierając myśli. Nie pamiętał, gdzie się znajdował, po długiej chwili zaledwie wróciła mu przytomność. Spojrzał na psa, jedynego wiernego w doli i niedoli towarzysza.

— Nie ma jej, Margas — szepnął — niczego nie ma! Tylko żyć trzeba, ale jak?

Pies wspiął mu się na piersi i piszczał, jakby rozumiał, potem odbiegł o parę kroków; obejrzał się i wołał szczekaniem.

Marek się zatrząsł. Czemu on go wzywa? Gdzie chce prowadzić? Może znalazł gdzie w łozie to,czego daremnie szukali — zwłoki?

Na tę myśl poskoczył naprzód, a pies rad, że go zrozumiano, ruszył żywo, oglądając się ciągle i skomląc niespokojnie.

Nie nad rzekę wiódł go jednak, ale w głąb dąbrowy, między nieprzebytą gąszcz malin, ożyn, chmielu, — zawalonych na pół spróchniałym drzewem, które tu kiedyś przed laty burza podruzgotała.

Margas czasem gubił ślad, węszył i zawracał, a Marek szedł, sadząc przez powały jak jeleń, nie dbając o kolące krzaki, co mu szarpały odzienie, kaleczyły ręce. Mrok utrudniał jeszcze bardziej tę drogę.

Margas był brzydki i złośliwy. Nie dał się nikomu dotknąć prócz pana, bywał często bity i wypędzany i stale głód cierpiał, bo Marek czasu nie miał o nim pomyśleć. Nawet Ragis przypisywał mu złe skłonności i oprócz morałów nic mu nigdy_ nie ofiarował. Zwierzę to chude, o burej, nastraszonej sierści, dziko patrzące, miało jednak dobrą pamięć.

Nie zapomniał drobnych rąk dziewczyny, która nie zrażona jego odstręczającą miną, gładziła niekiedy jego kadły, pełne ostów i pyłu drożnego, pamiętał że w Poświciu dawała mu chleb i mleko, a kiedyś nakarmiła pasztetem. Margas, to wszystko zakarbował w swej wiernej psiej głowie i ślady jej znał dobrze. Toteż choć błądził w gęstwinie, odnajdywał trop niewidzialny, i doprowadził pana, gdzie chciał.

Stanął nagle i z triumfem zaszczekał, zaglądając do otworu jakiegoś, zakrytego na pół — gałęźmi pnących się roślin, wybujałych, jak w dziewiczej puszczy.

Marek padł na ziemię, rękami darł kolące pędy, zdawało mu się, że tam w głębi coś się ozwało, jak słabe stękanie.

Była to zapadlina lochów zamkowych, czarna, głęboka. Mrok gęstniał z każdą chwilą. Wyobraźnia ludu zapełniała te tajemnicze przejścia widmami Krzyżaków zabitych, a wiecznie chciwych żmudzkiej krwi. Nie wiadomo było jak wysokim był korytarz, — mógł mieć na dnie otchłań, zrobioną przed wiekami na pułapkę ścigającym! Stękanie podobne było do żałosnego krzyku czerwonych sów, zaludniających zwaliska.

Wszytko to z szybkością błyskawicy przemknęło przez myśl Marka, gdy rozszerzał otwór, — ale nie powstrzymało go ani na chwilę.

Miał na sobie pasek, długi rzemienny. Drżącymi rękami umocował go do zwalonego korzenia, rosnącego tuż nad tą czarną otchłanią, drugi koniec okręcił około ręki, przeżegnał się i zniknął pod ziemią. Spadł na kupę gruzów, kamieni ślizkich i zgniłych liści, — znalazł się w zupełnej ciemności, nad głową jego siwiało ledwie niebo i rysował się kontur głowy Margasa, — w prawo i w lewo wąski, wysoki korytarz.

Jęk czy stękanie ucichło i znowu ogarnęła go rozpacz. Ten głos, było to złudzenie rozdrażnionych nerwów. Strachu on nie znał, ale podniecenie chwilowe go opadło. Czego on tu przyszedł? Pies może zwęszył borsuka? Skąd mógł sądzić, że znajdzie w tej gąszczy odludnej zwłoki swej ukochanej? Oszalał chyba!..

Gdy tak stał i brał już za pasek, by się dźwignąć na powrót, nagle zastygła mu krew w żyłach, pot oblał skronie. Gdzieś tam w głębi tej ciemni ohydnej, rozległ się ten sam słaby jęk, ledwie dosłyszalny. Mragas na górze skomlał coraz zajadlej.

— Kto tam? — spytał głośno, szukając zapałek w kieszeni, ale ręce mu opadły i stanął jak gromem rażony.

Z czarnej głębi dobiegł jego uszu słaby, mdlejący głos, — głos zmieniony, bez srebrnego dźwięku i żywego wyrazu, ale znajomy — o! jak, znajomy!

— To pan? Ja wiedziałam, że pan przyjdzie, ale... już nie mogę...

Jęk się rozległ i grobowe milczenie.

Zapałka błysnęła w ciemności. Kilka nietoperzy spoczonych, musnęło go po twarzy, z gzymsu u sklepienia zerwała się sowa i łopocąc okropnie umknęła dalej, otrząsając ze ścian pleśń i kurz. Zapałka rozświeciła na chwilę zakątki i zgasła, ale Marek już drugiej nie zapalał. Dojrzał na ziemi, z głową na kamieniu, leżącą postać dziewczyny, bez ruchu już, jak martwą.

Butelka wyrzucona przez Wacka wylądowała w kącie, na piasku „przeciwlotniczym"

— Ale worek musisz oddać, Stefan, bo on... Krygierowy — poważnie zwrócił się do mnie Wacek.

— Mówił teraz zupełnie normalnym głosem. Widocznie świeżo wypita przez niego — mocna, jak sto diabłów — „buraczanka" otrzeźwiła go trochę...

Miszka wysypał zawartość worka na „łóżko".

— Co to? — uwagę moją zwróciła płaska blaszanka, w kształcie półksiężyca. Miała ona w swych rogach mocno przytulone dwa kółeczka, a między nimi, w środku — otwór, szczelnie zamknięty korkiem.

— To — wyjaśnił mi natychmiast Pawełek — to mój wynalazek... podarunek dla ciebie od Rafała i spółki... Robili co dzień po trochu... Dopiero wczoraj wykończyli... Wyciągnij korek i... pociągnij...

Pociągnąłem. W płaskiej, jak flądra, blaszance była, zimna, jak lód śmietana!

— Podziękuj im serdecznie i... ucałuj ich — zwróciłem się do Pawełka.

— Eh... tam! Otrzymałeś dwa takie.... egzemplarze. To ma być, uważasz, kombinacja... Kiedy pierwszy egzemplarz będzie u ciebie — tak, jak teraz — drugi będzie u Rafała. I... odwrotnie... Kiedy przyjeżdżasz po wodę, zawsze wchodzisz do gorzelni, do Miszki, prawda? A Miszka, co dzień rano — nim wchodzi do gorzelni — wstępuje do Rafała po „lewy" przydział śmietany. A Rafał codziennie doi 60 krów. A, że nie jest w ciemię bity... Więc, jak Miszka jutro wstąpi do Rafała, to dostanie także i „przydział" dla ciebie. „Przydział" ulokowany w blaszance Nr 2. Ty przyjeżdżasz rano po wodę, oddajesz Miszce, ten oto tutaj, egzemplarz Nr 1 — oczywiście próżny — a otrzymujesz egzemplarz Nr 2. I tak codziennie... Perpetuum mobile, czyli głodnego nakarmić... Prawda, Miszka?!

— No... dobrze — spróbowałem wreszcie zabrać głos — ale... jak wyobrażacie sobie transport...? Blaszanka rzuca się w oczy...

Trzej królowie uśmiechnęli się.

— Patrz — odezwał się Miszka, odpinając pasek swych obstrzępionych spodni. — Na brzuchu Rosjanina znajdowała się taka sama, jak moja, blaszanka na śmietanę!

Od kółka, po lewej stronie blaszanki, odchodził do tyłu cienki rzemień, którego koniec przywiązany był do kółka po prawej stronie. Blaszanka wyglądała, jak fartuszek... Fartuszek, skazany na całodzienny pobyt w spodniach. Czy Pawełek nie miewa genialnych pomysłów?

— To egzemplarz numer 3 — mówił Miszka, śmiejąc się — moja własność...

Dzień noworoczny minął strasznie szybko...

I, wyłączywszy je, zaczął moim skromnym imieniem przywoływać pieruńskie pogody.

Znalazłszy mnie w stajni, zaczął parskać i okrzykami „los, los!" zapędził mnie aż pod samą knajpę Krygiera.

Przy murze, okalającym kościołek, stał, cicho warcząc, traktor z dwoma przyczepkami napełnionymi ludźmi.

Na drugiej zauważyłem Rafała, Ignaca, Dymowskiego, Pawełka, Płaczkowskiego, Wacka, Mariana, Miszkę i Tereskę: Tam, między nimi było moje miejsce!

Nawet nie zauważyłem, kiedy wsiadł do naszej przyczepy jeszcze jeden, przyprowadzony przez opasłego orangutanga, pasażer i, jak Dywalt, przewiesiwszy przez ramię otrzymaną od Krygiera flintę, wsiadł na przyczepę pierwszą...

Traktor był tak głośny, że można było swobodnie opowiadać sobie o długich latach tułaczki... Pawełek mógł przeklinać swoje „warsiawskie" półbuciki...

Szkoda tylko, że droga trwała tak krótko...

* * *

„Ulokowanie" Rafała, Dymowskiego, i Malinowskiego w Trebus nie było sprawą Ziółkowskiego. Wszyscy trzej jeszcze w październiku 1939 r. zostali przeniesieni do wielkiego obozu polskich jeńców wojennych w Kassel. Walczakowi udało się uciec... Tam w 1940 r. zostali „nabyci" przez dr. Hangena i zatrudnieni w jego majątku ziemskim w miejscowości Wanfried, nad Werrą. Hangen sprzedał majątek, a nabył większy w Trebus, dokąd ściągnął cały swój żywy inwentarz: konie, krowy, drób i... cudzoziemców. Wszystko to znaczyło, że jedynie spotkanie Ziółkowskiego w Berlinie na „Aleksie" zaliczyć należy na konto przypadku. Tylko jaki cel miał rudzielec, sprowadzając mnie, Pawełka, i Płaczkowskiego właśnie tutaj...?

Był już dzień, kiedy dojeżdżaliśmy do Bucholz. Przed kościołem na którego wieży znajduje się drewniana tarcza starego zegara słonecznego, traktor skręcił w prawo i popędził w dół, drogą do Steinhöfel.

Widzieliśmy przed nami masę ludzi, stojących wokół wielkiej przydrożnej gruszy, a za nią — ustawione jeden za drugim — drabiniaste wozy, ogumione platformy i traktory.

Zawieszony na grubym konarze gruszy, kołysał się trup młodego mężczyzny.

Dywalt rozkazał zejść z wozów i ustawić się w jednej grupie tuż pod nogami powieszonego.

Był nim Polak.

Jeszcze, nim został powieszony, twarz jego została ohydnie zniekształcona.

Później dowiedziałem się, że po wysłuchaniu krótkiego wyroku „sądu" SS, gdy miał już pętlę na szyi resztkami sił krzyknął:

„Wieszajcie czymprędzej, kaci! Niech żyje Polska!"

Dowiedziałem się też, że był warszawianinem i miał zaledwie 19 lat...

Matka dziecka jego, jakie miało przyjść na świat, była Niemką, ale kochała go całym sercem i nie wierzyła w czystość krwi germańskiej.

Zwłoki powieszonego kołysały się jeszcze lekko, kiedy SS-man o twarzy bladej, jak trupia czaszka, zdobiąca przód jego czapki, stanął pod gruszą na tej samej ławce, którą niedawno wytrącono z pod nóg skazańca i, wykrzywiając szerokie usta, zaczął parskać w naszym kierunku.

Czy może ktoś winić mnie za to, że nie słyszałem żadnego słowa wyszczekanego wtedy przez bladego SS-mana, że zadrżałem, kiedy zauważyłem Ziółkowskiego, wsiadającego za opasłym czarnowąsym policjantem do dwuosobowego Mercedesu, i, że nie czułem wcale, jak Dywalt nakazując mi udanie się za towarzyszami na szosę zdzielił mnie kolbą swej flinty przez ramię?

Na wozach panowało milczenie. Wszyscy staliśmy nieruchomi z oczyma utkwionymi w turkocący kominek traktora. Dopiero poruszyliśmy się trochę, kiedy przejeżdżając przez Bucholz mieliśmy możność przyjrzeć się drugiej części sztuczki teatralnej zespołu Ziółkowski et Company.

Na placu przed kościołem kilkunastu pętaków z „hitlerjugend" pędziło przed sobą młodą, obszarpaną kobietę. Włosy miała zgolone, a, na plecach zawieszono jej tablicę z napisem: „zdradziłam niemiecki naród". Tuż za nią kroczyło dwóch szczeniaków. Jeden z nich, 12-letni blondyn co chwila zanurzał wielki, malarski pędzel w niesionym przez kolegę wiadrze napełnionym smołą i gęstą, czarną cieczą opryskiwał głowę dziewczyny, jej plecy, ramiona...

Czyżby było to „audiatur et altera pars" hitlerowskiego sądu?

A może tak wygląda prawdziwa kultura?

* * *

Stary Fettke rąbał drzewo w szopie obok stodoły i nie zauważył wcale, jak udałem się na strych. Zapomniałem zupełnie, że jestem na czczo i położyłem się. Pokazałem się jednookiemu dopiero około godz. 15.00.

ROZDZIAŁ XI

OSKARŻAĆ BĘDĄ GROBY!

W wigilię 1944. otrzymałem pierwszy list: kartkę z Łodzi, „W domu, wszystko jest w porządku a Ryszard znajduje się w o. k. Dachau.." — pisała mi matka.

— — — — — — — — — — — — — —

W Nowy Rok padał śnieg.

Wodę i wywar przywiozłem już. Teraz do godz. 14 było święto. Później należało „zarobić" na obiad i kolację: zmieść z dróg podwórzowych śnieg i oprzątnąć konie i krowy.

Znalezione na strychu drewniaki były wspaniałe. Aby starzec nie zauważył ich na moich nogach, owinąłem je kawałkami starych worków.

Począwszy od wieczoru wigilijnego — noc w noc samoloty angielskie bombardowały Berlin.

* * *

Położyłem się do „łóżka" aby przespać trzy świąteczne godziny pierwszego dnia 1944 roku.

Zastanawiałem się nad tym, czy wolno pisywać do o. k. Dachau. Tam był Ryszard....

Ktoś długo obijał ośnieżone buty o mur, przed drzwiami wejściowymi i w chwilę później usłyszałem na schodach kroki.

Podniosłem się, ale nim ujrzałem głowy wchodzących, usłyszałem śpiew:

— Trzej Królowie
Monarchowie...

Przede mną stali, kołysząc się niewyraźnie kolędnicy: Pawełek, Wacek i Miszka z gorzelni!

Trzej Królowie — lekko zawiani...

— Cicho — szepnąłem przerażony, ale w tej samej chwili ryknął Wacek:

— A po cso? Dla czszego? Ameryka tak i tak niedługo wyląduje... A „cyklop" siedzi u Krygiera w knajpie wlany w „dechę"....

Dary tobie „przytarabaniliśmy"... w ten dzień wielki i jednocześnie ponury... Miszka!!! — zwrócił się do Rosjanina — Skidaj, towarzyszu podarunki noworoczne na łóżko! To Miszka Moradow — przedstawiał nas, nie wiedząc, że znam Rosjanina dobrze. — Tylko Stefciu, nie przybliżaj się za bardzo do Miszki! Józiu Dymowszczak zrobił mu w kuźni, pokryjomu scyzoryk... ostry jak brzytwa... Made in Germany i tylko dla Germanów...

Spojrzałem na Pawełka: oczy jego błędnie wpatrywały się, w położony przez Miszkę, na „łóżku", worek.

— Stef — odezwał się, spostrzegłszy mój wzrok — wyjmij stamtąd butelkę.... Kropniemy sobie pod tę nędzę, ten smród i to ubóstwo.... W worku jest jeszcze jedna...

Pawełek miał rację!

Piliśmy z butelki: najpierw — na życzenie Wacka — piłem ja, później Pawełek i Miszka.

Niesłuszne ataki na Spółdzielczość

„Zły stan naszego handlu przejawia się także na terenie spółdzielczości. Państwo otoczyło i otacza tę spółdzielczość opieką, udziela jej pomocy; daliśmy spółdzielczości magazyny, młyny zasoby pieniężne, ale musimy powiedzieć że nie możemy uważać, żeby wyniki prac spółdzielczości były dostateczne w obecnym okresie".

Wyżej cytowane słowa wypowiedział min. Minc. Czynniki rządowe i pewna część prasy już oddawna stawiają spółdzielczości liczne zarzuty. Zarzuty najczęściej nieuzasadnione, niejednokrotnie operuje się także **nieścisłymi cyframi, co wykrzywia zupełnie właściwy obraz.** Mówi się np. że spółdzielczość otrzymała od rządu 6 miliardów kredytów. Ale zapomina się dodać, iż znacznej części tej pozornie olbrzymiej sumy musi używać „Społem" jako **kapitałów obrotowych** w akcjach zleconych przez państwo.

Ile milionów ulokowała spółdzielczość w akcji „Przemysł dla wsi" — tego już nie podają autorzy artykułów, atakujących działalność „Społem". A przecież wszystkie te pieniądze wróciły z powrotem do kasy państwowej, do przemysłu, mimo iż nazywa się je „kredytami dla spółdzielczości". Zapomina się także dodać, że 6 miliardów złotych — to także kredyty rolnictwa, jak siewne i nawozowe. Natomiast wielokrotnie czytamy o tym, iż spółdzielczość posiadając kredyty, nie potrafi zorganizować rozprowadzania tekstyliów. Na jesieni nie można dostać w sklepach spółdzielczych materiałów płaszczowych, na wiosnę i w lecie — materiałów na suknie letnie. Tekstylia w spółdzielniach miejskich wykupują nie ludzie pracy, a handlarze. Nabywca, oprócz potrzebnej mu rzeczy musi często kupować także niepotrzebną, gdyż warunkuje się w spółdzielni sprzedaż pierwszej. Oni podają tylko fakty, nie zawsze zresztą sprawdzone. Nie wiedzą widocznie, że spółdzielczość rozprowadza te artykuły włókienicze, **których jej dostarcza Centrala Tekstylna placówka Ministerstwa Przemysłu**, a że dostarcza ona materiałów niesezonowych **czyż to jest winą spółdzielczo'ci?**

„Społem", które musi nabyć towar niesezonowy, ma następnie z jego sprzedażą olbrzymie trudności. Znaczne kapitały są związane aby móc je puścić w ruch. Spółdzielnia warunkuje sprzedaż jednego towaru jednoczesnym kupnem drugiego. Te metody napewno, przejściowe, nie przynoszą szkody człowiekowi pracy, któremu tak wiele rzeczy do ubrania jest jeszcze, w okresie powojennym, potrzebnych, a jednocześnie pozwalają spółdzielni choć częściowo rozwiązać jej trudną sytaucję finansową.

Aby mieć kontrolę, że nabywca uprawniony jest do kupna, w spółdzielni przedstawić trzeba pracowniczą legitymację tramwajową. Sprawdzenie, czy z legitymacją przychodzi jej prawy właściciel, czy handlarz, nie leży w kompetencjach ani w możności zapracowanego personelu spółdzielni. **Świat pracy** w swoim własnym, dobrze zrozumianym interesie **nie powinien wypożyczać nikomu swoich legitymacji.**

Przeprowadzany przez „Społem" skup zboża, zgromadzenie zbyt małej ilości, wysuwane jest także jako argument przeciw sprawności aparatu spółdzielczego. Tymczasem liczy on 100 hurtowni wojewódzkich, 300 hurtowni powiatowych i 15 tys. punktów sprzedaży detalicznej i dzięki tak rozbudowanej sieci mógłby rozprowadzić i skupić trzy razy tyle artykułów, co dotychczas. W tym, że nie udał się skup w grudniu 46 r. i styczniu br. tak, jak się tego spodziewano **zawiniły znowu czynniki inne, nie spółdzielczy.** Chłop nie otrzymał w terminie ani obiecanego węgla, ani tekstyliów. Zaczęły one nadchodzić dopiero wtedy, gdy akcja skupu była zahamowana. Wpływ na taki przebieg miała także terenowa działalność **Frunduszu Aprowizacyjnego.**

Inny argument przeciw „Społem" — to brak masła w spółdzielniach, podczas gdy można je otrzymać, po cenach wprawdzie bardzo wygórowanych, w w sklepach prywatnych. Tymczasem chłopi sprzedają albo mleko po cenach wyższych od ustalonych różnym pośrednikom, handlarzom, spekulantom, a mleczarnie spółdzielcze wyzyskiwane są obecnie w 25—30%. Mleczarnia ani sklep spółdzielczy nie może sobie jednak pozwolić na kupno mleka czy masła po cenach paskarskich, bo nie mogłyby wtedy sprzedać tych artykułów, po cenach wyznaczonych przez komisje cennikowe. **Spółdzielczość nie może podbijać ceny.**

Stawiano jej wprawdzie ten zarzut w niektórych artykułach w związku z podwyższeniem ceny herbaty z 33 zł na 50 zł za 1 dkg. **Cenę tę jednak wyznaczyło Ministerstwo Aprowizacji, a spółdzielnie musiały się zastosować do zarządzenia.**

Inny zarzut: „Społem" prowadzi zbyt rozwinięty handel artykułami monopolowymi, jak np. spirytus. Nie bierze się pod uwagę, że w handlu tym istnieje stała tendencja do mniejszego spożycia alkoholu, zapomina się także, iż właśnie interwencja spółdzielczości kilkakrotnie **zahamowała spekulację**, na tym odcinku (jak zahamowała ją także w handlu zapałkami i cukrem).

Zarzuca się także „Społem", że sprzedaje towary kupcom prywatnym. Tymczasem obroty w handlu z tymi ostatnimi wynoszą tylko 20% ogółu obrotów, z podawanych bowiem przez wielu dziennikarzy 31,40% należy odliczyć obrót, do którego „Społem" jest obowiązane, jak np. towarami reglamentowanymi, kartkowymi, monopolowymi. Odbiorcami towarów „Społem" są często kupcy zagraniczni, w ramach przewidzianego przez państwo eksportu.

„Społem" chętnie widzi na łamach pism rzeczową krytykę swojej działalności. Ale krytyka ta musi operować **ścisłymi faktami i ścisłymi cyframi.** Wtedy dopiero jest potrzebna i przynieść może pożytek.

Z. a.

Komunikat

W związku z przygotowywaną przez nas antologią p.t. „30 lat satyry polskiej" (1918—1948 r.), która ukaże się nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Książka", zwracamy się do autorów, bibliofilów i do tych wszystkich, którzy posiadają wyczerpane już książki, druki, teksty szopek politycznych, komplet ne roczniki pism satyrycznych jak „Pszczółka", Szczutek". Cyrulik Warszawski" i inne, ewentualnie pojedyńcze egzemplarze tych pism, wydawnictwa futurystyczne, utwory satyryczne ludowe, utwory pisane w czasie okupacji, jednodniówki i dodatki satyryczne do pism codziennych — o przysłanie tych materiałów pod adresem: Leon Pasternak, Łódź, ul. Bandurskiego 8.

Pisma te, w razie wyrażenia zgody przez właścicieli, chętnie zakupimy. W przeciwnym wypadku prosimy uprzejmie o wypożyczenie gwarantując zwrot tekstów w ciągu miesiąca od daty otrzymania. W razie niemożności przekazania nam materiałów prosimy o podanie spisu posiadanych druków i sposobu, w jaki moglibyśmy z nich skorzystać.

LEON PASTERNAK
JAN SPIEWAK

Kto otrzymał nagrodę

W naszym konkursie Nr 21 drogą losowania nagrody otrzymali:

1. Maleński Leszek, Łódź, ul. 11 Listopada 21.

2. Śmiałek Stanisława, Tomaszów-Maz., ul. Wschodnia 16/18 m. 11.

3. Studniarek Wacław, Radomsko, ul. Fabryczna 5.

Fragment zaczerpnięty był z powieści Stefana Żeromskiego p. t. „Popioły".

Ze średniowiecznej medycyny

Na wiosnę 1931 roku książę Amadeusz VII sabaudzki spadł z konia i zmiażdżył sobie ramię. Wogóle księciu pod względem zdrowia się nie wiodło. Pomimo swych 31 lat, był blady, anemiczny, wyłysiał też przedwcześnie. To też radość zapanowała na zamku w Ripaille, rezydencji księcia, kiedy pewnego dnia zjawił się tam nadworny lekarz księcia de Bourbon, sławny doktór de Grandville. Książe de Bourbon był bratem księcia, czyli jego rodzonym wujem, przysłanie więc znakomitości medycznej było dowodem o zdrowie krewniaka.

Przybyłemu przedstawiono zaraz wszelkie dolegliwości i braki całej książęcej rodziny: sam książe — chciał znowu czuć się młodym, a przede wszystkim pragnął odzyskać włosy na głowie, łysina bolała go bowiem nie mniej od odniesionej rany; księżna matka — cierpiała na dotkliwy reumatyzm, a chciało jej się jeszcze tańczyć; księżna panująca — życzyła sobie na wszelki wypadek więcej synów, bo jedyny następca tronu był rachityczny, zezowaty — i trudno było opierać na nim nadzieję na długowieczność rodu.

Dr. de Grandville obiecał pomóc wszystkim, byleby słuchali jego porad. Lecz z tym zaraz wypadło gorzej. Wprawdzie książe pozwolił sobie zgolić głowę do czysta, by ją smarować pięcioma maściami, z których cztery cuchnęły jak wszyscy diabli, ale za to piąta była niewypowiedzianej wonności; kiedy jednak kolej przyszła na zgolenie włosów synowi, nie zgodził się stanowczo, twierdząc, że nie wypada człowiekowi niszczyć tego, co Bóg posiał w takiej obfitości. Oburzył się też cały dwór, kiedy lekarz późną nocą wtargnął do sypialni pary książęcej, niosąc jej skuteczny napój na urodzaj synów, ile że układ gwiazd wskazywał na odpowiednią do zażycia porę. Nie tracono jednak zaufania do Grandville'a, który byłby może rzeczywiście pomógł wszystkim, gdyby nie zaszedł nowy fatalny wypadek. Zdarzyło się, że książe polując w lesie na dziki, spadł z konia i odniósł znowu dotkliwą i głęboką ranę. Nie zwrócił jednak na to na razie uwagi i dał się opatrzyć dopiero po skończonych łowach. Lecz rana nie chciała się goić. Stan zdrowia chorego pogarszał się z dnia na dzień, a po dwóch tygodniach nastąpiły takie bóle, że książe wił się i krzyczał w niebogłosy. Zaczął też złorzeczyć lekarzowi. „Święty Wawrzyniec, pieczony na ruszcie, nie cierpiał tyle, co ja w tej chwili! Przeklęty lekarz — otruł mnie! — wołał. — Otruć chciał także i mojego syna! Złapcie tego łotra i pomścijcie mnie!".

— Czy mamy zabić Grandville'a? — zapytał jeden z dworzan.

— Nie! — zaryczał książe. — To byłaby za mała kara! Weźcie go na tortury! Niech wyda tych, którzy go nasłali!

Dworzanie masowali księcia, który dostawał bolesnych kurczów Dawano mu co chwila proszek na kichanie. Księżna przyniosła bezcenne lekarstwo z utartego rogu jednorożca, rozpuszczonego w winie. Kiedy i to nie pomogło, dworzanie musieli udać się do lasu, by złapać parę młodych lisów. Lisy te żywcem wrzucono do wrzącego wina, z którego potem zrobiono dla chorego kąpiel. Pomimo jednak najpieczołowitszej kuracji, książe w nocy wyzionął ducha. Nie przestał jednak złorzeczyć lekarzowi i podejrzewał go aż do końca. Nie trzeba chyba dodawać że znienawidzonego Grandville'a nie dopuszczono już do chorego. Natomiast dworzanie, zaraz po śmierci księcia, postanowili się z doktorem rozprawić. Ostrzeżony jednak w porę, zdołał umknąć.

Lecz nie sądzone mu było wyplątać się tanim kosztem z tej przygody. Regentką podczas małoletności następcy miała być babka jego, Bona, z domu księżniczka de Bourbon. Miała ona w kraju grono nieprzyjaciół, którzy postanowili ją zgubić. Przecież niefortunnego lekarza przysłał jej brat, książe de Bourbon! Zmarły był wprawdzie synem, lecz cóż to znaczyło dla kobiety chciwej władzy, która zamierzała zostać nieograniczoną panią Sabaudii! Wszystko to były z palca wyssane insynuacje, ale postanowiono poprzeć je „dowodami". Złapano nieszczęsnego Grand ville'a, który nie zdążył jeszcze dotrzeć do rodzinnego kraju, i wzięto go na tortury. Uwiązano go na belce za dłonie, a nogi obciążono wielkimi kamieniami. Wyciąganie stawów należało do tortur najboleśniejszych. Męczony lekarz, „zeznał" wszystko, czego od niego żądano. Przyznał się do otrucia księcia. Trucizny dostarczył mu rzekomo nadworny aptekarz. Działał z namowy księżnej Bony, matki zmarłego. Za każdym podciągnięciem na belkę zeznawał coraz nowsze rzeczy.

„Byłbym się przyznał do wszystkich zbrodni, jakie popełniono na przestrzeni ostatnich 300 lat! — oświadczył, kiedy za wdaniem się dyplomacji zagranicznej, zwolniono go napół żywego z kaźni. Oczywiście, odwołał zaraz wszystkie wymuszone na torturach zeznania. Uczynił to jednak za późno dla aptekarza, którego tymczasem jurysdykacja książęca zdążyła już wykończyć. Poćwiartowano Bogu ducha winną ofiarę, zasolono, a kawałki ciała rozesłano jako „momento" po różnych miastach Sabaudii i Piemontu.

Jak widzimy, sytuacja lekarzy w średniowieczu, bywała czasem nie do pozazdroszczenia. Ale biedni byli i pacjęci, skazywani na średniowieczną kurację! Proszek z jednorożca, czy winna nalewka z młodych żywych lisów — były to środki bardzo wymyślne ale czy zawsze skuteczne?...

K. ZRYW

Kupon nr 6

na okładkę do powieści »POBUDKI«

(wyciąć i zachować!)

P. o. red nacz. i sekretarz Redakcji — Sergiusz Jaśkiewicz
Wydaje: Woj. Komitet PPS. w Łodzi
Redakcja i administracja: Łódź: Piotrkowska 68, tel. 112-54 skrytka pocztowa nr 7
Godziny przyjęć: redakcji 10 — 12
administracji 9 — 17
Prenumerata: miesięcznie — 20 zł.
kwartalnie — 50 zł.
Cena ogłoszeń:
za milimetr — szpaltę 50 zł.
Drukarnia Nr 4 Spółdz. Wydawn. „Czytelnik", Łódź, Żwirki Nr 2
D—015642



RĄBANKA

LISTY WYBUCHAJĄCE

Tragiczne namiętności i światowej wagi decyzje wstrząsały w ubiegłym tygodniu Blokiem Demokratycznym naszej kamienicy.

Zaczęło się od nieporozumienia między parą blokowych narzeczonych, obywatelką Zajączko, wdówką po dwóch mężach, a Stachną Oblizajkiem.

— List wybuchający jemu draniowi posłałam! — powiada do mnie płacząc obywatelka Zajączko.

— Do kogo? — spytałem przerażony.

— Do Stachny, któren mnie zdradza z tą wydrą z pod 78-go! O ja nieszczęśliwa! Dwa garnitury po obu moich nieboszczykach jemu podarowałam, półkoszulek i kołnierzyk na każdą niedzielę i święto prasuję, co drugi dzień kaszankę jemu na kolację odsmażam, za którą tak przepada, — podobnież po pół litry „Perełki" stawiam co wieczór w każdą sobotę! A on, potwór niewdzięczny, na karuzeli ją woził, w kinie z nią przebywał, a co potem wyrabiali, tego się każdy domyślić może, kto tę łachudrę znał!.. Nie wytrzymałam— i list wybuchający jemu do kieszeni wsunęłam, niech go pętaka w drobny mak rozerwie!

— A cóż pani do tego listu włożyła? spytałem zaniepokojony.

— Całą wybuchowość, jaką miałam w sercu! Napisałam mu, że jest łobuz, kanciarz i Judasz recydywista! Że jest Herod bez czci i wiary, któremu prawie z taką Sodomą Gomorą żyć, jak ta Mańka, a nie z uczciwą kobietą! Obiecałam, że mu ślepia gorącymi mydlinami wyparzę, ługiem struję — i wódki więcej nie dam, tak mi Panie Boże dopomóż!

— No, list był rzeczywiście wybuchowy, ale myślę, że nic mu się od niego nie stanie — więc czemu pani płacze?

— To ze złości, podobnież z zawiedzionego miłosnego niepokoju! Tylko, że on nieszczęśnik, zaraz po tem liście — do Koluszek pojechał i już od czterech dni nie wraca! Pan słyszał o tem nieszczęściu z trującem spirytusem, którem się tam wykończyła cała okolica? Mentolowem — jego nazywają. Niemożebne, żeby Stachna, któren jest Kizior leguralny, nie opił się tej trucizny. Bo wódkę on na kilometr przeczuwa i przez mury ją widzi! Znakiem tego, mała jest nadzieja, żeby w Koluszkach będąc, takiej okazji nie wykorzystał! W widzie zimnego trupa, albo za tego nieszczęsnego niewidomego ja jego zobaczę! A kiedy pomyślę, że to mój list wybuchowy jego do tych Koluszek zapędził, serce mi się kraje, bo już takiego nieszczęścia jemu nie życzyłam!

Ledwie obywatelka Zajączko domówiła tych słów, kiedy w bramie ukazał się Stachna we własnej osobie, zdrów i cały.

— Duch, duch jego już się mnie objawia! — krzyknęła ob. Zajączko, zakrywając oczy fartuchem.

— Pomieszało ci się w głowie, kobieto! Ze mnie w biały dzień duchowną osobę odstawiać! — zawołał Stachna. — Obiad mnie lepiej podaj, bo już ze dwa dni nic porządnego nie jadłem! Wypić się coś niecoś wypiło, ale z jedzeniem było gorzej, bo trzeba było oszczędzać.

— Trup, trup z niego niewidomy! — zakrzyczała przerażona narzeczona. Mentolem się ofiara losu zaprawiał, koluszkowskiem! Tylko patrzeć, jak nam tu wykituje!...

— Co się jej stało? — spytał Stachna poirytowany.

— Obawia się, czy się pan nie zatruł w Koluszkach Metalonem — wyjaśniłem.

— W jakich Koluszkach, jakiem znów medaljonem?...

— To ten list wybuchający wszystkiemu winien! Przebacz mnie, Stachna swoje młode życie!

— Co za list znowu? Kobieto! Do żadnych Koluszek nie jeździłem! W Pabianicach tylko byliśmy z Maniusiem Piwopiejczykiem, gdzie żeśmy nowe agencje prasowe zakładali. A o liście żadnem, podobnież nic mi nie wiadomo!

Tu obywatelka Zajączko sięgnęła ręką do wewnętrznej kieszeni marynarki Stachny i wydobyła stamtąd list, pomięty nieco, ale w nienaruszonej kopercie.

—To ja tu umieram z wyrzutów sumienia, a on, łobuz jeden, nawet go nie przeczytał! Czekaj, damże ja ci! — wołała oburzona niewiasta.

...Wiecie jaka mnie nagła ideja polityczna przyszła do głowy? — zapytał ob. Dzwoniec, który przysłuchiwał się dotąd rozmowie, jako niemy świadek.— Zrobiemy i wyślemy dwa listy wybuchające — jeden do tego hiszpańskiego Franca, a drugi do tego niemieckiego oczajduszy w ząbek czesanego... Do każdego listu — półlitrówk'e z koluszkowskiem spirytusem dołączymy. O wie le łakome są na wódkę, skutek murowany! Można dla pewności sokiem malinowem zaprawić — a wtedy nie wytrzymają! — i spokój znów będzie w całej Europie!...

KIEL

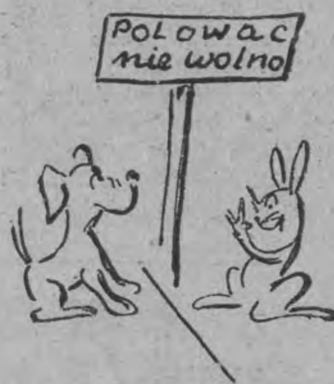
Piórem i piórkiem



Gdy piłkarz źle trafi



Krótkowzroczny pływak



Prawo przede wszystkim